

JAMES SCHUYLER

wiersze w przekładzie Piotra Sommera

Z FRANKIEM I GEORGE'EM NA LEXINGTON

Jest tu z nami termos firmy Polly z czerwoną nakrętką
i mój 75-funtowy długopis obrotowy
nie lżejszy niż nasze głowy
na lekkim lodzie
wśród kurczącego się śniegu.

Czy to tutaj, to są porosty?
A te liście
to dąb?
i co ja mogę odczytać
ze zwęglonej gałęzi, na przykład:
czy byłaś drzewkiem derenia?
Chyba jednak była.

W śniegu są ślady stóp
jak w mokrym cemencie; kosmyk
tkwi w kępie zeszłorocznej trawy;
samochody przelatują jak pszczoły; i tak dalej.
Wielka pierzasta czapa skłania do introspekcji
wiecznie zieloną gałąź.

Dobrze tu jest.

DZISIAJ

Dziś fale w zatoce
rozłamują się i klaszczą.
Wiatr gwizdże.
Świerki i jasnozielone brzozy
na samej skarpie
są płaskie, a mimo to pękate
jak listy z dopiskiem „uwaga załączniki”.
Mewa miauczy, statek pocztowy buczy,
Wiatr wzbija się i spada, chlupocząc jak woda
i z kolczastych brunatnych kubków nasiennych czerwonego orlika
rozlewa się czarny jazz.
Wiatr zostawia tylko
porozbijane głosy – „a kogo to?”
i nieczytelne zarysy zdań,
a może zgrzytnięcie – hikory o beton.
Biały domek po drugiej stronie zatoki
mniejszy niż obłaczek na paznokciu
świeci dzisiaj tak samo jak światło
które widać na nim w nocy, gwiazda
a może słońce lampy naftowej.
Jaskółki spod okapów stodoły
coś kombinują, może chcą
pokazać swoim żółtodziobom jak to robić, z powietrza
kosić owadzie żniwo.
Okrągłe i brunatne jak królicze bobki,
torebki nasienne miecznicy
objijają się i pękają w szwach:
duże jak na taki mały kwiat.
Sunie żaglówka,
topola szarpie swe korzenie
wczepione w skalne łupki.
Wszystko chichocze i skrzypi
wzdycha zadowolone
czerwieni się i dojrzewa w ostrych podmuchach chłodu
a słońce zwala z nóg

IDAĆ

To ten miesiąc, kiedy na pluskwicy daurskiej
sznur twardych jagód zaczyna się w końcu bielić
i nagła ulewa zamienia nietrwałe szafrany w strzępy bibułki
a potem wiatr smaga i zgina nie łamiąc
zdrewniałe łodygi chryzantem, więc korzyść z nieusuwania pączków
ujawnia się w dolnych niewielkich odrostach, które czuć metalem,
widać zenit, co jest jakby lekko zapyłony i całkiem blaknie
na linii horyzontu, cienie wznoszą się do lśniących powierzchni
jak gdyby one i tylko one ciągle miały liście
które w szklistym połysku ukrywają kolor.
Chomikująca wiewiórka ujada jak opętana na widok szajki
kotów które się gapią i którym cały czas gęstnieje futro. Dni
są krótsze, przejrzystsze, są jak pocałunek
ani suchy ani wilgotny ani w usta
wywołujący lekki wstrząs, który rozchodzi się kuliście
po całej powierzchni skóry. Teraz już wcześniej, w środku
popołudnia, światło wpada ukosem
do pokojów wychodzących na południowy zachód: w tym tutaj
prześwietla regał toteż zdechłobure grzbiety książek ze złotymi nadrukami
Hodge i jego chlebobawcy, Uprawa zbóż w Ameryce
wyglądają jakby od razu chciały być zdjęte z półki.
Gdyby kuć arkusz złotej blachy aż zrobi się przezroczyta,
a wszystko co się zakorzenia i sterczy z ziemi miało być zmatowiałym srebrem
i poczerniałym brązem – obitym i przetartym od niechcenia
w paru miejscach do połysku –
i gdyby miało przez nią patrzeć drżące na wietrze i szybko zachodzące słońce,
październik nie wyglądałby inaczej niż wygląda.

23.03.66

Dziwna wczesnowiosenna pogoda, łagodna i wodnista
w kolorze zaziębienia.
Powietrze pędzi. Gałęzie
nigdzie się nie wybierają, tak jak ocean,
wiosenna sól odtyka zatoki. Zimowa nie.
Wszystko po prostu się rozsiadło: stodoła bez okapów,
zapuszczony domek w rogu po przekątnej
na swojej działce, pole a na nim koń.
W górze leci samolot, zostawia ślad,
pomruk który stawia na nogi. Przejeżdża
ciężarówka, jakby ktoś szybko przetasował
karty do pasjansa. A biedny stary garbaty wygon
ma kępy krzaczastych brwi z dzikiego szczypiorku.
Chłód na karku zalatuje stęchlizną
a wiosna zaczyna dopiero wstawać
i jeszcze się przeciąga
ale spać już nie będzie. Nasila się
i oddala, widać ją i słyszać, tak jak wczoraj wieczór
kiedyśmy czytali na głos *Wielkie nadzieje* ogień spojrział na nas
i wymknął się kominem

CENOTAF

trzy idylle dla Kennetha Kocha

1 *Moneses uniflora*

Deszcz pada na śmieci płonące w starej beczce po ropie i nie gasi ich.
Tli się.
Nie z powodu oddalonych od siebie wielkich kropli deszczu.
Tli się z powodu odpadków. Skórek banana, cienkich błon w skorupkach jajek,
niedopałków i innych takich.
Gęsty biały swąd znad krawędzi beczki unosi się do lasu w kierunku kamieni.
Las cuchnie.
Czuć smród.
Ogień mamle swój pokarm.
To nie jest udane spalanie.
Psy są innego zdania. Żółty pies i czerwony wachają beczkę na tyle blisko, żeby
nie poparzyć sobie nosów.
Unoszą jedną nogę i zostawiają odrobinę pary.
Potem zamieniają się miejscami i robią to samo.
To kończy ceremonia, więc odbiegają i gryzą się po uszach.
Beczka jest sponiewierana, ma ziarniste plamy od żaru i moczu.
Ponury dzień gęstnieje.
Deszcz pada z animuszem.
W środku ogień strzela iskrami, a czarne okruchy żaru gasi się nogą na drewnianej
podłodze.
Inne trzymają się paleniska i zostawia się je w spokoju.
Świerkowe drewno, pełne sęków i żywicy.
Świerkowe drewno szybko się pali i trzaska.
Mniej poszukiwane niż brzoza albo jabłoń?
Tak i nie.
A raczej: to zależy.
Nie, jeżeli chcesz mieć szybki mocny ogień.
Poza tym świerków jest pod dostatkiem.
Występują obficie.
Las ma słodki zapach fiołków parmeńskich od pachnącego miętą jednokwiatu moneses
uniflora,
Stratowanej paproci, która pachnie sianem, i przyjaznego dymu.
Czerwony pies wchodzi z deszczu, żeby odegrać litografię „Pies przy kominku”.
Budzi uznanie.
Piec jest zbyt rozgrzany.
Wskazówka przekroczyła pięćset stopni i nie pójdzie dalej.
Szybkopalne świerkowe drewno nie ponosi winy.

Dolny szyber był otwarty.
 Górny szyber był zamknięty.
 Ogień rozpalił się błyskawicznie.
 Zbyt gorący piec rozwala termometr do mięsa.
 Na rozgrzany do czerwoności piec nie chlap zimną wodą.
 Żelazo popęka.

Dziś wyszło słońce.
 Wieczorem nie trzeba będzie palić.
 Jemy auszpek.
 Beczkowa spalarnia jest pełna szmat po malowaniu i gazet nasączonych terpentyną.
 Ogień buzuje zawzięcie.
 Płomienie buchają aż do zgiętych gałęzi pobliskiej brzozy.
 Płomienie są widoczne, ale nie zasilają słońca.
 Choć żar jest wielki, to się nie rozprzestrzenia.
 Psy ciągle trzymają dystans.
 Słońce otwiera kwiaty jastrzębca.
 Wiele jest żółtych a niektóre są pomarańczowoczerwone.
 Kwiaty jastrzębca wyobrażają kolor ognia.
 Kwiaty jastrzębca to jedno, a ogień drugie.
 Choć odpadki się palą, to płoną tak szybko że nie śmierdzą.
 Dla niemowlęcia ogień to zagrożenie.
 Dobrze że niemowlę szybko zasypia.
 Największy świetlik w ciemności to papieros.
 Tego lekkiego zapachu spalenizny nie powoduje wadliwa instalacja.
 To zapach, jaki został po upalnym dniu.

2 Widzimy foki. Przeplływają łodzie.

Widzimy foki.
 Przeplływają łodzie.
 Kamienie ranią delikatne stopy, więc chodzimy na rękach.
 To nietrudne: ciało się unosi.
 Woda jest czysta.
 Naniósł trochę pojedynczych kamieni.
 Leżę na materacu i patrzę w dół.
 Ty leżysz na plecach i patrzysz w górę.
 Skały mają na sobie wodorosty.
 Moglibyśmy pośliznąć się na wodorostach i skrócić mi kark albo przynajmniej
 zwichnąć ci nogę w kostce.
 Słone orzeszki.
 Mam na nodze czerwony paznokciec.
 Zafarbował od pomarańczowych skarpetek kupionych w Vermoncie.
 Jeśli z powodu potu skarpetka farbuje paznokciec na czerwono, to czemu farba
 nie zmywa się z paznokcia?
 Niepojęte.
 Nie rozumiem tego.
 Kilka leniuchujących fok zsuwa się szybko i robi chlup.

Dlaczego?
Zaterkotała łódź.
Ocean nadaje kształt kamieniom i stępia im krawędzie.
Ich kolory lśnią pod powierzchnią i głębiej.
Pokazuje, co mógłby zrobić gdyby chciał.
Ostatni szlif nie należy do niego.
Kamień najwięcej daje, kiedy spokoju zaznaje.
Nie ma nic do jedzenia oprócz jeżowców i jagód, czarnych i malin.
Nie ma nic do picia oprócz wody morskiej, z mikroelementami.
Nieprawda.
Jest źródło.
Tam dalej obok.
Dobrze że nie zabraliśmy psa.
Mógłby zabłocić źródło.
Źródło jest na plaży zwanej Plażą Na Której Indianin Zabił Owcę.
Nic o tej historii nie wiem.
Opowiada ją tytuł.
Jest może niewiarygodna.
Na pewno jest nudna.
Literacka.
Czy Beowulf nazwał ocean „kurczycielem członka”?
Foka wysuwa pysk i parska.
Słońcu poplątały się wstążki.
Po drugiej stronie jest tak samo jasne jak po tej.
Nie przypomina księżyc, który wzejdzie między piątą a szóstą i będzie się snuł pośród
 świerków.
Jest mi zimno.
Tobie też.
Wychodzimy.
Ja się wycieram.
Ty idziesz na słońce.
Wkładam wysuszony na słońcu tiszert, koszulę, majtki, szorty, skarpetki i buty.
Tenisówki.
Ty też się ubierasz.
Droga do mokradła przez mokradło w stronę drogi z południa na północ obok
 pozbawionej płotu srebrnej bramy do ogrodu obok jabłek przez furtkę do łubinu
 obok studni do drogi i w końcu do domu na lunch.
Kładę się poczytać.
Ty idziesz na kajak.
Wiedziałaś o aparacie fotograficznym „za 1000 dolarów bez akcesoriów, który jest
 tego wart?”
Ach wiedziałaś, to ci dopiero.
Ktoś ma dwanaście lat i mówi że złożyć z powrotem golankę to „praca dla Herkulesa”

3 Brzeg o poranku

Idę na brzeg z kubkiem kawy.
Świta.
Niebo jest czerwone.
Wschodzi słońce.
Od tamtej strony woda oślepia.
Od tamtej jest opylona snem.
Od tamtej lśni tak świeżo jak zheblowany nożem wiór ołowiu.
Zatoka pokryta jest skórą.
Pęcznieje ale nie pęka, jak w szklance pełnej wody.
Skórę zatoki i moją grzeje słońce.
Przesuwające się powietrze jest rozrzedzone i zimne i chłodzi kubek.
Kawa wystygła.
W trawie małe grube szarobrązowe ptaki przeskakują z cienia do cienia.
Owies pastewny dojrzał i ma teraz wąsy.
Omiata go słońce.
Rozświećta go.
Ta rozchwiana trawa pokłada się teraz jak kępy drutu.
Nie jest tym czym była.
Brzegi zatoki są najwyższe podczas przyływu.
Teraz jest odpływ.
Wodorosty mają bąblowate strąki, które przypominają ziarna kawy.
Z ciszy wypływa motorówka.
W kubku zostają zacieki po przyływach.
W tej jasności Łódź jest ciemną, ociosaną tępo bryłą.
Cały czas się zbliża.
Słysząc warkot.
Przepływa przez światło i robi się biała.
Dwie rozwijające się liny trzepoczą i koziółkują i ta ich czynność dokłada się do tarć
między wodą a powietrzem.
Zatoka to 1) continuum i 2) odmiana.
Postać człowieka w łodzi jest idealnie pomniejszona.
Wrona się śmieje.
Silnik się krztusi.
Łódź zakręca.
Fale splatają się w węzeł, który rozpada się i tonie.
To drobne zawirowanie kończy się i rozplywa.
Silnik zwalnia i rzezi.
Postać w łodzi odwraca się, przesuwa o krok, pochyla nad zbeszczeszczonym i
zaniedbanym grobem i wyciąga zimnokrwistą furię schwytaną w sieć na homary.
Pancerz i kleszcze miotają się i kłapią, są krzykliwie pocętkowane.
Pstrokata skorupa wypchana słodkim mięsem.

Łowca homarów odwraca do ciebie twarz ze zwietrzałego kamienia, co kruszy się
w uśmiechu.
Ceny rosną, bo połowy spadają.
Zakłada przynętę i wrzuca sieć do oceanu.
Astmatyczny silnik krztusi się i wraca do chrapliwej normalności.
Łódź odpływa i z wolna robi się niebieska.
Kubek do kawy znalazł sobie miejsce na występie skalnym długości stopy.
Resztkę kawy jest zimna, gorzka, ziarnista i smaczna.
Powietrze już się nie przesuwają.
To bryza, ale przypomina wiatr.
Gniecie zatokę i wypycha ją w skalistą kieszeń.
Wzburzona zatoka próbuje się wygładzić.
Gdyby była bibułką, trzeba by ją zwilżyć i wyprasować.
To znacznie więcej niż wilgoć.
Jakie mnóstwo wody.
Szczeka mewa.
Niemowlę odszczekuje.
Trzy wrony lecą załatwiać swoje opalizujące sprawki.
Słońce jest już dostatecznie wysoko, by przybrać wygląd kogoś, kto zgarnia
z dworu pranie.
Suszy wyprane rzeczy.
Wyobraź sobie że znajduję w trawie kość i mówię, że to jedna z kości Marca Blocha?
To nie byłaby prawda.
Nie, to nie byłaby prawda i ocean nie jest jego grobem.
Dostojny, wspaniały i dobry:
To jego cenotaf.